



O DUBAJU, SZYCIU I PAPIEROSACH - WYWIAD Z WANDĄ ŁUCZAK

Zacznę od podstawowego pytania: jak znalazła się Pani na Bednarskiej oraz co Panią tutaj przyciągnęło?

Od zawsze pracowałam w szkole – wpierrw w państwowej, gdzie doprowadziłam klasę do matury. Potem urodziłam drugą córkę i poszłam na urlop macierzyński, zaś po nim przeniosłam się do szkoły społecznej – tam nie mogłam dogadać się z panią dyrektor, stąd z własnej woli zdecydowałam się odejść. Koleżanka, która rok wcześniej była w dokładnie takiej samej sytuacji (obecna dyrektor Witkacego), przyszła na Bednarską rok wcześniej i powiedziała mi, że szukają tam nowej matematyczki. Udałam się więc na rozmowę z panią Krystyną Starczewską i

zaczęłam pracować, a było to na początku lat 90. Od razu dostałam wychowawstwo, pojechałam do Bud. Co ciekawe, w tej mojej pierwszej klasie wychowawczej była obecna nauczycielka – Dominika Siedlecka.

Co pani docenia w Bednarskiej i co ją różni od szkół państwowych?

Doceniam to, że nie muszę stawiać stopni za odpowiedzi ustne, bo gdy uczyłam w szkole państwowej, było to dla mnie tragiczne. Doceniam także to, z jakimi ludźmi teraz pracuję. Uważam, że młodzież z każdej szkoły jest do siebie podobna, ale tu, na Bednarskiej, pracuje się w lepszej atmosferze, przez co aż chce się robić te swoje „rzeczy”.

REDAKCJA

Franciszek Porayski-Pomsta
Michał Bisiorek

Bruno Bednarski
Maria Jagodzińska
Kamila Kolankowska
Karolina Liszka
Maciej Mroczek
Barto Pielak
Ewa Raczkiewicz
Rozalia Saramonowicz
Julia Sarzyńska
Sabina Zabielska
Krzysztof Zając



Pani córki poszły także na Bednarską?

Tak – obie skończyły również Raszyńską. Skoro Bednarska jest najlepszą szkołą w Warszawie, dlaczego miałabym je pozbawiać możliwości uczenia się w niej? Młodsza uczyła nawet matematyki – wpierw spytałam, czy nie będzie miała z tym problemu. Ona odpowiedziała, że nie. Staraliśmy się rozdzielać funkcję dziecka i uczennicy, mamy i nauczycielki.

Moje córki nigdy nie chodziły do szkół państwowych, co związane jest z moją traumą z tamtych czasów. Właściwie, zaczęłam się uczyć dopiero na studiach. Robię wszystko, żeby nie popełniać błędów ze szkół państwowych. Moja mama znalazła kiedyś moje zapiski z liceum, w których tworzyłam rady dla przyszłych nauczycielek. Pamiętam, jak je pisałam. Na liście była m.in. odczytywanie uczniów po nazwiskach – moje nazwisko panieńskie było takie, że łatwo było je przekreślić. Nigdy nie wiedziałam, że z tych rad będę mogła później sama korzystać.

Co pani motywuje w poniedziałek rano do wstania z łóżka? Wiadomo, że dla wszystkich jest to moment wewnętrznej walki.

Przede wszystkim wizja spotkania uśmiechniętych uczniów, kolegów i koleżanek – niby taka drobna sprawa, a jednak mnie nakręca. Przez

nią myślę, że nie mogłabym pracować gdzie indziej – znalazłam na pewno swoje miejsce na ziemi. Ponadto: uwielbiam uczyć, choć, niestety, robię tego coraz mniej.

Przez wiele lat dyrektorem na Bednarskiej był humanista, Jan Wróbel. Czy dostrzega Pani jakieś zmiany w związku z tym?

Na pewno są jakieś zmiany, ale jakie to powinni wypowiedzieć się nauczyciele. Na pewno jest inaczej. Trzeba jednak zauważyć, że przez 10 lat byłam wicedyrektorką i pracowaliśmy razem z Jankiem. Wydaje mi się, że nasza współpraca była bardzo dobra – wzajemnie się uzupełnialiśmy.

Może się wydawać, że Bednarska traci powoli opinię liceum humanistycznego – kiedyś na matematykę rozszerzoną miała chodzić garstka osób, teraz jest ich znacznie więcej. Chociażby w naszym roczniku grup rozszerzonej matematyki są trzy, a polskiego i historii – jedna.

Tak, to prawda – osób rozszerzających matematykę jest znacznie więcej. Na mieście zawsze nas postrzegano za humanistyczną szkołę. Jak kiedyś organizowałam matury, to rozszerzoną historię albo WOS zdawało mniej więcej trzy czwarte rocznika. Teraz te proporcje w stosunku do matematyki rozszerzonej się odwróciły, choć zawsze istniała ich mocna grupa.

Nawet kiedy w pierwszym moim roku nauki miałam grupę niesamowitych osób, z którymi robiłam całki prosto ze studiów, bo oni te licealne liczyli w pamięci. Tych zmian nie wiązałabym jednak ze zmianą dyrekcji.

Jakie są pani zainteresowania?

Teraz jest ten czas, kiedy znowu zaczęłam bardzo dużo czytać i się z tego powodu cieszę – książki w czasie wolnym są moim przyjacielem. Poza tym lubię szyć. Już w liceum szyłam, był taki sklep Hoffland: w domach handlowych centrum było całkiem duże stanowisko i tam były zupełnie inne ciuchy, niż te, które można było normalnie kupić. Pod tym sklepem ustawiały się niekończące się kolejki i można było czasem jakiś fajny ciuch za normalną cenę zdobyć. Moja babcia była zawodową krawcową i to była moja pierwsza nauczycielka. Szyłam różne rzeczy dla swoich lalek, będąc dzieckiem, potem po prostu robiłam wykroje i w liceum zaczęłam się ubierać w rzeczy własnoręcznie szyte. Później jak już się urodziły moje dzieci, to szyłam dla nich różne rzeczy. Praca w szkole absorbowała jednak zbyt dużo mojej uwagi, więc na długi czas musiałam zrezygnować z mojego hobby. Ostatnio polubiłam też pracę w ogrodzie. Lubię gotować, uprawiam różne sporty: chodzę z kijkami, pływam.



Źródło: http://cdn19.se.smccloud.net/t/photos/98978/Szturm_na_Hoffland.jpg

W wakacje toczyła się na Bednarskiej dyskusja na temat palenia. Co pani o tym sądzi?

Sama byłam inicjatorką tej dyskusji. Jestem bardzo konserwatywna w tym temacie. Nigdy w życiu, a żyję przeszło pół wieku, nie zapaliłam ani jednego papierosa, więc uważam, że można tego nie robić. Można być szczęśliwym bez takich impulsów jak papieros. To jest taki sam nałóg jak każdy inny. Nie lubię tracić kontroli nad tym, co się ze mną dzieje, a to robi przecież nałóg z człowiekiem. Palenie przed wyjściem ze szkoły i przed drzwiami poradni jest dla mnie kompletną głupotą i niezrozumieniem. Na pewno można się powstrzymać przed zapaleniem przez te kilka godzin, jakie spędzamy w szkole. Mogłabym zamknąć szkołę, by temu zapobiec, ale musimy się nauczyć rozmawiać, przekonywać. To jest moja metoda: rozmowy, rozmowy i jeszcze raz rozmowy. Jeżeli ja proszę i wychowawcy też proszą, to myślę, że każdy inteligentny człowiek powinien to zrozumieć.

Po szkole krąży z prędkością światła informacja o tym, że jeździ pani często do Dubaju. Może nam pani coś o tym powiedzieć?

- Mój mąż pracuje tam od dwóch lat, a będzie jeszcze przez rok. Decyzja o jego wyjeździe była wspólna. Jestem z moim mężem

już 30 lat, znamy się od liceum. Uważałam, że osiągnęłam największy sukces zawodowy, jaki mogłam osiągnąć, że jestem dyrektorką największego społecznego liceum w Warszawie. W związku z tym zrezygnuję z pracy, bo chciałabym, by mój mąż również awansował w swojej karierze zawodowej – pracuje w firmie dźwigowej, a Dubaj jest pod względem tej branży bardzo atrakcyjny: dynamicznie rozwijające się miasto z wysokimi budynkami. Rozmawiałam z moimi kolegami, koleżankami o mojej rezygnacji, ale ostatecznie zdecydowaliśmy się, że spróbujemy jeszcze. Udaje się nam to od dwóch lat. Zrezygnowałam z uczenia i skupiłam się na zarządzaniu szkołą na miejscu i przez Internet z Dubaju. Moja praca tam wygląda tak jak w Polsce tylko, że rozmawiam z ludźmi mailowo. Uważam, że jest to przygoda, na pewno nauka i oglądanie zupełnie innej kultury, tradycji. Umiem się tam poruszać po mieście i mam nadzieję ze ten rok jeszcze wykorzystam żeby jednak się skupić na angielskim, by w końcu się go nauczyć.

Gdzie chciałaby pani jeszcze pojechać?

Do Indii. To jest takie miejsce, o którym czytałam i myślę, że jest niesamowite! Wspaniała kultura, czasem myślę, że mam jakieś

hinduskie korzenie. Chciałabym na pewno być na weselu hinduskim, bo wiem, że ono trwa długo i jest bardzo kolorowe. Ponadto 19 października jest Święto Światła, czyli Diwali, trwa ono pięć dni. Być może na Bednarskiej Hindusi też będą je obchodzili. A w Dubaju moi sąsiedzi już zaczynają dekorować swoje domy, tak jak my na święta, oni na Diwali. Marzenie wyjazdu do Indii będę się starała za wszelką cenę spełnić. Jest to też związane z patronem naszej szkoły – maharadzą Digvijaysinhji, który był niesamowitym człowiekiem – świadczy o tym sam fakt, że wychował tyle polskich dzieci, a do tego po chrześcijaństwie!

Gdyby pani mogła porozmawiać z jedną sławną i nieżyjącą już osobą, kogo pani by wybrała?

Trudne pytanie... Na pewno byłaby to kobieta, bo faceci są zawsze bardziej doceniani od kobiet. Myślę, że z panią Einstein. Była niesamowitą kobietą, czytałam o niej książkę.

Dziękujemy bardzo za wywiad.

Ja również.

Wywiad przeprowadził:
Franciszek Porayski-Pomsta

Opracowanie: Sabina Zabielska
i Franciszek Porayski-Pomsta

NAZWY KLAS PIERWSZYCH

Zgodnie z naszą szkolną tradycją, w październiku nowo przybyli uczniowie przedstawili swoje nazwy klas. Jednak w jaki sposób się one narodziły?

TOTU Kasi Karłowicz

Pewnego dnia podczas EKO niedoszła klasa TOTU była bardzo zmęczona i zapomniała, gdzie zostawiła buty. Zaczęła zatem pytać, gdzie może je znaleźć, a wtedy Michał w odpowiedzi wykrzyknął: „to tu!”. Tak się składało, że wszyscy pierwszoklasiści musieli wymyślić nazwy swoich grup i z tego zbiegu okoliczności wziął się pomysł na nazwę TOTU. Wyraźną zaletą takiego imienia było to, że, jeśli nauczyciel lub nauczycielka będą pytać o to, gdzie klasa się znajduje, chórem można odpowiedzieć: „to tu!”. Oprócz tej nazwy był jeszcze pomysł, żeby grupę nazwać Orzeszki, jako że podczas zielonej szkoły wychowawczyni tej grupy bardzo lubiła wyjadać uczniom orzeszki z czekolady; pojawiło się też KKK (tj. Klasa Kasi Karłowicz), ale uznano, że będzie się to negatywnie kojarzyło przez istnienie rasistowskiej organizacji noszącej to samo imię.

Chemia z Niemiec Mariusza Kisielewskiego

Przez program Niemiecki XL w klasie oraz wychowawstwo Kasi Karłowicz w klasie równoległej, klasa uznała, że to jest „idealne środowisko” do nazwy Chemia z Niemiec. Kojarzyć się też może to z wysoką reputacją niemieckich chemikaliów w Polsce.

Eudajmonia Marka Kraszewskiego

Uczniowie tej grupy szukali nazwy klasy w Internecie. Jeden z nich wpadł na pojęcie „eudajmonia” oznacza to, że ktoś jest szczęśliwy z czegoś, co sam osiągnął i nie chce nic zmieniać, a jako że klasa wydaje się szczęśliwą grupą, pomysł wydawał się słuszny. Opozycją Eudajmonii było Nic osobistego, lecz ostatecznie po głosowaniu, górą w konflikcie była ta pierwsza nazwa.

Imperatyw kategoryczny Elżbiety Lewandowskiej i Katarzyny Sołdackiej

Nazwa tej klasy przyszło uczniom bardzo szybko, bo trwało to tylko dwie lekcje. Pomysł został przypadkowo podrzucony przez dwie dziewczyny, które brały udział w konkursie filozoficznym. Uczniom bardzo się podobało wyrażenie imperatyw kategoryczny oznaczające zasadę postępowania zgodnie z regułami, które chcielibyśmy, aby były stosowane przez wszystkich ludzi. Ta klasa bardzo przestrzega zasad, które sama ustala i bardzo chce, aby takie zasady trwały. Pomysłem na nazwę dla grupy był jeszcze Humus, ale ludzie nie uznali tej nazwy, ponieważ humus znaczy również próchnicę w ziemi złożoną z organicznych szczątków ziemi.

Nie wiadomo Agnieszki Smith

Tworzenie nazwy zajęło około trzech dni i w końcu, podczas których grypa nie mogła się zdecydować na żadną z nich. Kiedy wydawało się już, że nic z tego nie będzie, wszyscy postanowili, aby klasa się nazywała Nie wiadomo, na co bez zastanowienia zgodziła się Agnieszka Smith.

My nie z takich

Podczas wyjazdu na EKO, wychowawca tej klasy spytał grupę, czy nie wzięła ze sobą żadnych używek, ona zaś odpowiedziała zgodnie: „Nie, nie. My nie z takich”, co szybko zostało przyjęte jako nazwa klasy – My nie z takich.

Drzemka Karoliny Haki-Makowieckiej

Zauważono, że uczniowie z tej grupy szczególnie często zasypiają na lekcjach, stąd nazwa Drzemka. W tej klasie raczej nie lubi się budzików. Poza tym ludzie z tej grupy chcą być cały czas piękni i młodzi, a sen ma temu sprzyjać.

Mononukleoza Dominika Mokrzewskiego

Jedna z dziewczyn tej klasy miała podczas EKO mononukleozę, a że grupa często dzieliła się posiłkami, bała się, że zostanie tą chorobą zarażona. Tak też powstała Mononukleoza.

Krzysztof Zajac

WRAŻENIA Z EKO, CZYLI JAK TO MOŻLIWE, ŻE 9-LATKA ZNA CAŁY LAS NA PAMIĘĆ.

Co roku, gdy na Bednarskiej pojawiają się nowe klasy, odbywa się wyjazd integracyjny zwany Eko. Mieszkanie w leśnej chacie, spanie na sianie i oczywiście błoto do pasa - właśnie dlatego wszyscy to kochamy i tylko wyczekujemy momentu, kiedy znów się tam znajdziemy. W tym roku pierwszych klas jest aż dziesięć, więc redakcja pisma „Udław się!” zdecydowała popytać pierwszaków o wrażenia. Historie, które usłyszeliśmy tylko utwierdziły nas w przekonaniu, że te wyjazdy są perełką w życiu Bednarczyka. Wspólne siedzenie w lesie przy ognisku i granie na gitarze? Dla nas super! Nie dość, że jest to świetny pomysł

na integrację, to jeszcze tworzy cudowną atmosferę. Tak samo jak nasz ukochany całodniowy bieg z „tysiącem” kilometrów i zadań do wykonania. Na coś takiego nie da się przygotować, choć nie sądzę, by osobę, która wzięła ze sobą własną siekierę mogło coś zwalić z nóg. Nie jest to jedyny nietypowy przedmiot, jaki tegoroczni uczestnicy spakowali. Podczas jednej z rozmów okazało się, że na liście rzeczy zabranych znajduje się także hamak. Z tego co wiem, nikt na to nie jeszcze nie wpadł, a pomysł przecież świetny.

Główny organizator Eko Jędrzek Owsiniński w tym roku zabrał ze sobą swoje pociechy. Takie sytuacje już się zdarzały w

historii naszej szkoły, lecz tegoroczna jest zupełnie wyjątkowa. Jak się okazuje, młode rodzeństwo nie odstawało zbytnio swoimi umiejętnościami orientacji w terenie od swojego taty. Jedna z grup opowiedziała nam jak dzielnie prowadzili ich w pogrążone w mroku nocy leśne gęstwiny, gdy ci już nie mieli nadziei na bezpieczny powrót do leśniczówki.

Każde Eko jest wyjątkowe, niesie ze sobą cudowne wspomnienia, tworzy wspaniałe przyjaźnie i pozwala zdobyć umiejętności, których nie nabędzie się siedząc w szkolnej ławce.

Kamila Kolankowska i Karolina Liszka

DZIEŃ DOBRY, DZIEŃ DOBRY

Każdego dnia od samego rana przeżywamy dylematy. W co się ubrać, co zjeść, na który autobus pójść. Pierwszy szkolny dylemat napotykamy od razu po przekroczeniu

drzwi naszego budynku – z kim się przywitać?

Widzimy nauczyciela. Mamy z nim za godzinę lekcję - logiczne będzie więc stwierdzenie, że wówczas się z nim przywitamy... Zatem: czy jest sens robić to teraz? Czy on nas w ogóle widzi? Czy to będzie niegrzeczne? Jak się przywitać? Czy kulturalne będzie powiedzieć „cześć”? Czy może jednak „dzień dobry”?

Następnie pojawia się nasz kolega z klasy. Na pierwszy rzut oka, sprawa jest prosta i oczywista - nie jesteśmy postawieni przed kolejnym dylematem. A jednak pojawiają się wątpliwości: czy jesteśmy na tyle zbliżeni do siebie, żeby się cmoknąć

w policzek? Czy może zwykły żółwik wystarczy? Potem on chce nas przytulić, a my przybijamy mu piątkę. Dobrze się zaczyna.

Kolejna osoba, którą widzimy to ktoś, z kim rozmawialiśmy właściwie raz. Czy onw ogóle nas pamięta? Czy chce nas pamiętać? Czy chce się z nami witać?

Mnóstwo pytań... oczekiwałoby się też mnóstwa odpowiedzi. Oczywiście, są różne zasady, młodszy pierwszy wita się ze starszym, „witam” mówimy we własnym domu, a do osoby, wyżej w hierarchii mówimy pierwsi „dzień dobry”. To wszystko jednak cały czas się zmienia, tak samo jak zmienia się moda, trendy, slang. Odpowiedź więc na te pytania jest tylko jedna – musisz sam znaleźć swoje rozwiązanie. Może po zaliczeniu paru niezręcznych wpadek - po tym jak pani od matematyki na forum klasy powie o dziewczynie, co przetakowała ją wzrokiem na korytarzu,

a nie przywitała się, i będziesz wiedziała, że mówi o tobie (jeśli moja pani od matematyki to czyta, to ja ją bardzo przepraszam, ale zachwyciło mnie jej ubranie, więc dosłownie nie mogłam wydusić słowa) - albo kiedy ktoś będzie chciał cię cmoknąć w policzek a ty go walniesz szczęką w twarz, zaczniesz, najpierw świadomie, potem coraz bardziej automatycznie, wczuwać się w sytuację i postępować tak, żeby nie było niezręcznie.

Zresztą... powiedzmy sobie szczerze: za parę lat te wszystkie sytuacje będą już tylko anegdotami. Wiedźcie, że z czasem nabieramy wprawy. O ile sam problem witania się nigdy nie zniknie, będzie on dla nas zdecydowanie mniejszy.

Maria Jagodzińska



PALENIE NA BEDNARSKIEJ

Bednarska od długiego już czasu boryka się z problemem palenia papierosów pod budynkiem. Podczas przerw uczniowie idą do tak zwanej "palarni", co dla niektórych stanowi kwintesencję szkolnego życia towarzyskiego. Tworzy to nieprzyjemną atmosferę wokół palarni, co z kolei powoduje irytację wśród klientów poradni i okolicznych mieszkańców. Jednak co jest główną przyczyną spotkań w tak liczny gronie w palarni podczas przerw? Zapytaliśmy o to uczniów Bednarskiej - tych palących i niepalących.

- „Zaczęłam palić na bednarskiej, chciałam się wbić w towarzystwo, poznać ich. Tam chodzą zawsze najfajniejsze osoby, łatwo jest się wkręcić dzięki temu do „elitki bednarskiej”. Potem po prostu to polubiłam. Zdaje sobie sprawę z tego że są szkodliwe, ale uważam że fajnie się wygląda z petem i nie wyobrażam sobie imprezy z alkoholem bez papierosa.”

Mówi jedna z uczennic naszej szkoły. Inne poglądy wiele się od

siebie nie różnią.

- „Zaczęłam palić przez towarzystwo, znajomych, przez to spróbowałam. Z początku paliłam tylko w większym gronie, potem w parę osób, teraz palę sama. Wiem, że jest wątpliwa przyjemność za cenę zdrowia, ale wciąga.”

- „Papierosy dają uczucie ulgi, w towarzystwie, jako dodatek do rozmowy. Wiem, że szkodzą zdrowiu i uważam, iż ludzie powinni je ograniczać, szczególnie Ci mocno uzależnieni.”

- „Nie palę nałogowo, nie są dobre dla zdrowia, jedna z silniejszych używek XXI wieku. Mógłbym je rzucić w każdym momencie, aczkolwiek nie przeszkadzają mi jakoś bardzo, nic do nich nie mam, tak działają używki.”

Osoby niepalące po części zgadzają się z palaczami:

- „Uważam że są szkodliwe, ale nie przeszkadza mi jak ktoś pali. Nie ciągnie mnie do tego, wszyscy palą więc po co ja też mam zaczynać? Zresztą

dużo kosztują, wolę wydać te pieniądze na jedzenie.”

- „Uważam że są niezdrowe i śmierdzą, lepiej jakby nie było papierosów w ogóle - wtedy nikt by ich nie palił. Bezsensownie wydane pieniądze, płacisz sobie za śmierć, a - moim zdaniem - obrazki na papierosach nic nie dają, bo ludzie się z nich bardziej śmieją niż biorą na serio.” Osoby palące jak i niepalące mają świadomość jednego - są szkodliwe zarówno dla czynnego palacza, jak i dla otoczenia oraz środowiska zewnętrznego.

Pojawia się pytanie - w jaki sposób rozwiązać problem palenia pod szkołą? Wydaje się, że najlepszym sposobem jest znalezienie jakiegoś substytutu na miejsce papierosów. Trwają obecnie dyskusje i poszukiwania dobrego zamiennika.

Warto też zauważyć, że duża część uczniów wzięła sobie do serca prośby o niepalenie wokół szkoły i poradni. W tej sprawie nastąpiła znaczna poprawa.

Redakcja "Udław się!"

FEMINIZM XX WIKU

Jako kierunek polityczno-społeczny, feminizm jest bardziej skomplikowany, niż mógłby się wydawać. Wokół idei emancypacji kobiet wyrosło wiele nurtów i różnych ideologii – wystarczająco dużo, aby mieć wątpliwości, czym w ogóle jest dzisiejszy feminizm.

Aby to zrozumieć, należy najpierw poznać jego historię. Ślady myśli feministycznej znaleźć można we wszystkich epokach, ale za początek właściwego feminizmu przyjmuje się koniec XVIII wieku. Wtedy to podczas rewolucji doszło do wydania przez Olimpię de Gouges „Deklaracji praw kobiety i obywatelki” (1791) – odpowiedzi na niesprawiedliwe potraktowanie kobiet przez francuską konstytucję i parlament – a także „Wołania o prawa kobiety” przez Mary Wollstonecraft, która w swoim dziele opowiadała się za prawem kobiet do rzeczywistej edukacji, a nie tylko za występującym niekiedy kształceniem domowym. Jako masowy ruch społeczny feminizm debiutuje w XIX wieku wraz z początkiem ruchu Sufrażystek. Wtedy też pierwszy raz użyty zostaje termin „feminizm”. Sufrażystki reprezentowały pogląd, który później nazwano feminizmem liberalnym – drogę do emancypacji dostrzegały w nadaniu kobietom praw, które wcześniej ich nie dotyczyły, tj. praw wyborczych, prawa do edukacji i pracy, a także reformie tych represjonujących – praw rodzinnych. Ich starania nie poszły na marne – w 1920 roku USA i Wielka Brytania dały kobietom prawo do głosowania. Chociaż był to sukces tylko częściowy – głównie dlatego, że kobiety mogły głosować dopiero po ukończeniu trzydziestego roku życia, a wiele innych postulatów Sufrażystek nie zostało zrealizowanych – to był on pierwszym

crokiem ku równouprawnieniu płci. Świat polityki, w końcu, zmuszony był otworzyć się na kobiety.

Zestaw nowych poglądów i idei feministycznych, jakie pojawiły się w latach 60., nazywa się feminizmem drugiej fali. Rozpowszechnił się w Stanach Zjednoczonych i części Europy Zachodniej. W odróżnieniu od pierwszej, druga fala feminizmu skupiała się bardziej na społecznych, a nie politycznych, zagadnieniach. Było tak głównie dlatego, że przyciągała ona głównie zawiedzionych skutkami reform politycznych, które nie przyniosły całkowitego równouprawnienia. „Druga fala” poruszała tematy równouprawnienia na rynku pracy, prawa aborcyjnego, patriarchy, a także seksualności kobiet.

To właśnie z niej wyłonił się podział między nurtami – feminizmem liberalnym i – powoli kształtującym się – nurtem radykalnym.

Jako początek trzeciej fali feminizmu określa się lata 80. Jako że w większości cywilizowanych państw kobiety były już do tego czasu równe wobec prawa, feminizm liberalny stracił tempo. Zaczął ustępować miejsca feminizmowi radykalnemu, który wyraźnie sprzeciwiał się pogładowi, że feminizm przestał być potrzebny (postfeminizm) i kontynuował walkę o równouprawnienie, źródło uciśnienia dostrzegając w patriarchalnym społeczeństwie, a jedyną szansę na zmianę w agresywnej rewolucji społeczeństwa. Trzecia fala szybko rozszerzyła zbiór poruszanych przez siebie zagadnień, dodając do niego m.in. teorię queer, ideologię gender, ekologię, kwestie rasowe i klasowe, podziały religijne, kulturowe i ekonomiczne. Jest to częściowo konsekwencją krytyki poprzednich fal feminizmu za działanie głównie w interesach białych kobiet z klas średnich, bez dostrzegania problemów mniejszo-

ści. Między innymi z tego powodu obecny feminizm podzielony jest na tyle różnych ideowo nurtów, jak np. feminizm marksistowski, feminizm anarchistyczny, feminizm postmodernistyczny, feminizm indywidualistyczny, czarny feminizm, ekofeminizm itd. To zjawisko powszechnie nazywa się interseksjonalizmem. Wśród prądów obecnego feminizmu jest nadal bardzo wiele młodych, kształtujących się ideologii, które siłą rzeczy są bardzo niestabilne. Nurty te czasem mieszają się ze sobą, radykalizując się lub liberalizując. Przewiduje się, że w najbliższym czasie feminizm trzeciej fali podejmie kolejne zagadnienia, powiększając swoją interseksjonalność.

Niestety, pojedyncze ruchy radykalne, nawet będąc bardzo niewielką częścią całego feminizmu, tworzą jego wizytówkę. Coraz powszechniejsza staje się krytyka feminizmu, która wynika ze sprzeciwu społeczeństwa wobec jego skrajnych poglądów i postulatów, które tak naprawdę należą jedynie do odłamów radykalnych. Powstała w tych okolicznościach niechęć do feminizmu może wywołać gwałtowne odrzucenie jego idei przez społeczeństwo (co już tak naprawdę się stało – nie bez powodu w USA rok temu wybory prezydenckie wygrał Donald Trump). Radykalne ruchy zawsze spotykały się z radykalną reakcją.

Myśląc o dzisiejszym feminizmie, warto zastanowić się głębiej nad jego interseksjonalizmem. Przy jego rozpatrywaniu nasuwa się pytanie, w jakim stopniu dzisiejszy feminizm pozostaje wierny swojej pierwotnej definicji? Czy w ogóle można określić go mianem „feminizmu”, skoro tak bardzo odbiegł od swoich korzeni? Czy może to nasza definicja feminizmu, oparta na jego historii, wymaga aktualizacji?

Bruno Bednarski

ŁAWECZKA

Spojrzałem na zegarek – jeszcze pięć minut.

Stałem na rogu Krętej i Prostej. Był tu niewielki, zaniedbany skwer, który składał się z trzech płaczących brzóz, na które aż żal było spoglądać. Pod nimi stała zbutwiała ławeczka, której kolory dawno zostały zakryte przez białą-czarno-brązowe gołębie barwy.

Postanowiłem na tej ławeczce usiąść – już dawno tego nie robiłem. Ostatni raz... chyba z cztery lata temu. Tak! Kupowałem wtedy słodką bułkę w zamykającym się już nocnym sklepie i czekałem na autobus, który miał przyjechać dopiero za piętnaście minut. Usiadłem więc i obserwowałem od czasu do czasu przejeżdżające samochody. Była to bardzo dziwna noc – pierwsza, może wpół do drugiej. Bułka – nic nadzwyczajnego, a właściwie – gdyby takie słowo istniało – coś podzwyczajnego, bo jakością przypominała każdą taką słodką bułkę z podobnych sklepów: czerstwy chleb, odrobina sypiącego się lukru, nadziana kapeńką dżemu przypominającego właściwie jakąś przedziwną galaretkę.

Tak też siedziałem, leniwie wpatrując się w miasto pogrążone we śnie. Byli jednak tacy jak ja, którzy nie spali. Jeden nagle wypadł zza rogu – mógł mieć około trzydziestki: kilkudniowy zarost, krótkie włosy, spiczasty i złamany nos, ukryty w cieniu kapelusza – a że szedł bardzo szybko, wiatr zwał mu z głowy owo nakrycie głowy, które uderzyło mnie w twarz. Mężczyzna pośpiesznie zawrócił i powiedział:

- Przepraszam pana. – Chwycił kapelusz. Byłby odszedł, kiedy nagle się zatrzymał i ponownie wbił we mnie wzrok. – Która to godzina, przepraszam?
- Pierwsza dwadzieścia trzy – odpowiedziałem.
- Niesamowite! Nieprawdopodobne!
- Cóż takiego pana dziwi? – spytałem nie bez zaciekawienia.
- Proszę tylko popatrzeć: pierwsza dwadzieścia cztery...
- Trzy – poprawiłem go.
- Niechże będzie nawet ta pierwsza dwadzieścia trzy...
- Nie, ma pan rację w tej chwili, a właściwie ponownie jest pan w błędzie – pierwsza dwadzieścia cztery wybiła dokładnie trzy sekundy temu.
- Dajcie spokój, panie! – zbulwersował się nagle. – Pierwsza dwadzieścia sześć! Dokąd to ja się śpieszę?
- Może na autobus? – zasugerowałem, ignorując jego kolejną pomyłkę.
- Nie, nie na autobus... – Zadumał się wtedy i wtem poderwał spuszczoną głowę, znów wbił we mnie wzrok z dawnym, niecierpliwym wyrazem i zapytał: – Która to godzina, proszę pana?
- Pierwsza dwadzieścia pięć – odpowiedziałem posłusznie, choć już nieco zirytowany.
- Ach, tak... Dobranoc!

Dziwny jegomość odszedł. Zniknął gdzieś przy następnym zakręcie, truchtając żwawo. Skomentowałem tę sytuację burknięciem:

- Dziwne jest to miasto, zaiste.

Teraz, po tych czterech latach, przypominałem sobie o tym zdarzeniu.

Spojrzałem ponownie na zegarek – już czas!

Poderwałem się z miejsca i nieomal wpadłem na przejściu dla pieszych na pędzący samochód.

Franciszek Porayski-Pomsta





DO TRZECH RAZY SZTUKA - RECENZJA "NĘDZNIKÓW"

Z ulicznego muru mała smutna dziewczynka patrzy prosto na widza. Ten plakat zna każdy miłośnik musicalu na świecie. To zapowiedź, że gdzieś w pobliżu muszą być grani „Nędznicy” („Les Misérables”). Powstał na podstawie powieści francuskiego pisarza Victora Hugo. Muzykę skomponował Claude-Michel Schönberg, zaś dzieło stworzył Alain Boublil. O popularności „Les Misérables” świadczyć może fakt, iż w samym Londynie spektakl był grany przez 30 lat ponad 12 tysięcy razy! Wystawiany był już w setkach miast, istnieje właściwie tyle wersji, ile krajów, a słynne songi (bo tak nazywa się utwory śpiewane w musicalach) wykonywano już w kilkudziesięciu językach. Trzeba przyznać, że zarówno pod względem muzycznym jak i scenariuszowym jest to spektakl tak doskonały, że trzeba by bardzo się starać, aby popsuć owo arcydzieło muzycznego dramatu. Tym razem za ów sceniczny „pewniak” zabrał się Teatr Muzyczny w Łodzi. Przy okazji warto przypomnieć, że to nasza trzecia krajowa próba zmierzenia się z tym dziełem. Polska prapremiera spektaklu odbyła się w 1989 roku w Teatrze Muzycznym w Gdyni (reż. Jerzy Gruz), zaś w 2010 roku w Warszawskim Teatrze Roma (reż. Wojciech Kępczyński)

miała miejsce głośna z uwagi na gigantyczne koszty wystawienia, premiera.

Gasną światła, a na scenie pojawiają się więźniowie skazani na ciężkie prace na galerach, zmęczeni i zrezygnowani śpiewający song „Schył kark”. Kto nie widział tej sceny w teatrze, być może widział ją w musicalowym filmie zrealizowanym w 2012 roku, z udziałem takich gwiazd jak Hugh Jackman, Russell Crowe czy Anne Hathaway. I tak zaczyna się historia o wielkiej miłości, ale i o podłości, o szlachetności i zemście oraz innych szlachetnych, ale i niskich uczuciach. A wszystko rzucone na historyczne tło Paryża i rewolucji. Ale wróćmy do Łodzi. Tu oczywiście na scenie nie ma wielkich gwiazd, ale i polscy artyści dostarczają wielu wrażeń. Szczególnie pięknie i silnie brzmią męskie głosy głównych postaci - inspektora Javerta (Piotr Pluska) i Jeana Valjeana (Marcin Jajkiewicz). Gdy ten pierwszy śpiewa „Gwiazdy”, a ten drugi „Boże mój”, trudno się nie wzruszyć. Podobnie, jak i przy wielu innych songach, na czele z bodaj najsłynniejszym „Wyśniłam sen” śpiewanym przez Fantynę (w tej roli Agnieszka Przekupień). A przecież mamy jeszcze ważne dla przebiegu akcji (której nie będę

spojlerowała, bo przecież rzadko kto czytał oryginał Hugo) postaci Mariusa, Eponiny, małej Cosette i Cosette jako kobiety, pana i pani Thenardier i całą galerię postaci: pracowników fabryki, prostytutek, rewolucjonistów, złodziei, policjantów. A trudno zapomnieć także o małym Pawle Szymańskim grającym Gavrocha tak brawurowo, że ekspresji może mu pozazdrościć niejeden dorosły aktor. Wszyscy oni wiele wnoszą do spektaklu.

Łódzka wersja „Nędzników” przygotowana została z rozmachem, ale w tradycyjnej konwencji, bez dziwactw i eksperymentów, za co chwala reżyserowi Zbigniewowi Maciasowi. Siły scenicznego wyrazu dopełnia okazała scenografia (z elementami grafiki komputerowej i multimedialnych projekcji) oraz piękne kostiumy. Warto się wybrać do Łodzi i nie będzie to zmarnowany wieczór. Ale uprzedzam, że trzeba uzbroić się w cierpliwość, ponieważ bilety są już wyprzedane na wiele spektakli naprzód. A gdy już kupimy bilet, to warto uzbroić się w pudełko chusteczek do nosa, bo „Nędznicy” wyciskają łzy z oczu w sposób wyjątkowo skuteczny.

Julia Sarzyńska



"BLADE RUNNER 2049" - ŁOWCA DUSZ

Niedawno do kin wszedł "Blade Runner 2049" - długo wyczekiwana, druga część kultowego filmu nakręconego w 1982 roku przez Ridley'a Scotta. Pierwsza stworzyła wizję świata z 2019 r, w którym ucieczkę ze zniszczonej Ziemi i kolonizację innych planet umożliwiają ludziom sztucznie stworzeni replikanci. Policjant Deckard ściga replikantów, którzy wymknęli się spod kontroli i stanowią zagrożenie dla ludzi. Ten film urzeka romantycznym wątkiem wplecionym w sensacyjną akcję i dojmującymi kreacjami Harrisona Forda w roli Ricka Deckarda tytułowego łowcy oraz Rutgera Hauera w roli ściganego przywódcy zbiegłych replikantów.

Reżyser drugiej części Denis Villeneuve musiał się zmierzyć ze sławą pierwszego "Blade Runnera". Czy udało mu się dorównać mistrzowi Scottowi, autorowi m.in. "Obcego", "Gladiatora" i "Thelmy i Luise"? Według mnie spisał się świetnie. Pokazał świat spójnie wyrastający z pierwszej części, zachował klimat i spełnił oczekiwania zarówno dawnych fanów, jak i nowych widzów. Ryan Gosling, w roli policjanta szukającego zaginionego 30 lat wcześniej Deckarda stworzył rolę, która chwyta za serce swoją autentycznością i zaprzecza stwierdzeniu filmowej przełożonej,

która uważa, że jako replikant nie może mieć duszy. Gosling, grający oficera K, odkrywa tajną, skrywaną przez lata informację, która może pogрузić resztki społeczeństwa w chaosie. Kluczem do rozwiązania zagadki jest właśnie ukrywający się Deckard.

Świat "Blade Runnera" zarówno pierwszego jak i drugiego jest utrzymany w niezwykle jednocześnie pięknej i przynębiającej stylistyce. To świat postapokaliptyczny, mglisty, deszczowy zapchany nachalnymi reklamami, mamiącymi wyjazdem do nieistniejących rajów i komputerowymi kochankami. W świecie "Blade Runnera" najbardziej ludzcy nie są będą ludzie. W pierwszej części to replikanci, kochają, są wierni, odważni gotowi do poświęceń i po prostu pragną żyć. W drugiej najbardziej ludzka okazuje się być holograficzna dziewczyna oficera K, która jest gotowa poświęcić dla niego swoje życie. Nie ma znaczenia, że tylko komputerowe.

Blade Runner, to najwyższej jakości science fiction, które pod kosmicznymi rekwizytami i szaloną wizją przyszłości ukrywa głębokie, filozoficzne pytania o kondycję człowieka i sens jego życia. Film powstał na podstawie książki Philipa K. Dicka - wybitnego amerykańskiego pisarza scien-

ce fiction, którego wiele powieści zostało przeniesionych na ekran (m.in. : "Raport mniejszości", "Władcy umysłów", "Pamięć absolutna" i "Impostor"). Powieściowcy "Blade Runner" bardzo różni się od filmowego. Może bardziej zasadne było by powiedzenie, że film powstał nie na podstawie, a na motywach powieści Dicka. Swoją drogą, warto ją przeczytać nawet jeżeli tylko po to by porównać ją z filmem.

Jestem wielką miłośniczką sci-fi, a dzięki "Blade Runner'owi" kocham ten gatunek jeszcze bardziej. Z całego serca zachęcam wszystkich do obejrzenia tego filmu - nawet jeśli ktoś nie przepada za taką stylistyką, może go potraktować jako inspirację do zadania samemu sobie ważnych pytań, a przy okazji powinien dobrze się na nim bawić.

Zachęcam też do obejrzenia obu części w krótkim odstępie czasu, gdyż oba filmy świetnie się uzupełniają. A poza tym, Harrisona Forda nigdy za wiele. Dodatkowym atutem obu produkcji jest muzyka, skomponowana w pierwszej części przez Vangelisa, a w drugiej przez Hansa Zimmera i Benjamina Wallfischę.

Rozalia Saramonowicz

SKOK W SKANDYNAWSKI MROK - RECENZJA SERIALU "MOST NAD SUNDEM"

Nie należę do fanatycznych wyznawców wielosezonowych seriali. Powiem więcej, trudno mnie przekonać do tego typu maratonów przed szklanym ekranem. Każdemu jednak zdarzają się chwile słabości, mnie również.

Ów serial skandynawski (szwedzko-duńska koprodukcja), znany w Polsce pod tytułem „Most nad Sundem”, to jedno z najbardziej fascynujących doznań, jakie przeżyłem w ramach obcowania z X muzą. Z zaangażowaniem i w napięciu obejrzałem wszystkie trzy sezony i nie mogę się doczekać ostatniego (podobno), mającego się ukazać na początku 2018r. Co mnie aż tak przygwoździło? Obraz. Każdy odcinek spowity jest mgłą, podduszony półmrokiem, za dnia zanurzony w odcieniach oscylujących wokół stalowej szarości i bladej niebieskości, nocą w granacie i czerni. Miasta po obu stronach cieśniny Sund są niepokojąco przeciętne, trudno wyczuć, jak się tam żyje, czy jest w nich coś ciekawego do zwiedzenia. Próżno doszukiwać się turystycznej kryptoreklamy, znanej choćby z „Vicky, Cristina, Barcelona”. Twarze przewijające się przez ekran to ludzie w większości przeciętni, nawet jeśli ładni lub chociaż ładnie ubrani, to mający prawo do nieuczestnia, niedogolenia, porannego napuchnięcia i (lub) ciemnych worków pod oczami. Samochody nie połyskują

nowością i ceną, w mieszkaniach nie poraża krzykliwy dizajn, z ust nie wylewają się clikliwe farmazonny spod znaku „jakoś to będzie” tudzież „zmieńmy razem świat na lepsze”. Doskonałość, plastikowość i landrynkowość, zbyt dobrze znana z tak wielu produkcji kinowych i telewizyjnych, nie ma szans wkraść się na plan filmowy choćby na sekundę. Zbrodnia, którą tropi serialowa policja, jest zaprzeczeniem koncepcji człowieka jako pięknego zwierzęcia w procesie rozwikłania chaosu. Ofiary nie mają ani jak, ani gdzie się ukryć przed taranującym złem. Głównym zaś bohaterem zdaje się być niesamowity w swej monumentalności, bezwzględnie acz powabnie wbity w dno morza, most łączący Kopenhagę i Malmö, majestatyczny Øresundsbron. I pewnie tak by pozostało, gdyby nie przemierzająca go regularnie swoim starym acz jarym Porsche 911 szwedzka inspektorka Saga Norén, najczęściej w towarzystwie duńskiego kolegi po fachu Martina Rodhe (sezony 1-2) lub Henrika Saboe (sezon 3).

Trudno wytłumaczyć, na czym polega magia (bo raczej nie urok) Sagi. Być może przede wszystkim na tym, że mówi, kiedy trzeba i zawsze to, co myśli, oraz że niezależnie od okoliczności, żyje i postępuje w zgodzie z samą sobą. Zastanawiam się czasem, czy Sofia Helin, odgrywająca tę

nietuzinkową rolę, będzie w stanie kiedykolwiek kolejny raz przeskoczyć tak wysoko postawioną, przez samą siebie zresztą, poprzeczkę.

Zaskakuje również fakt, że nowe towarzystwo Sagi w trzecim sezonie w żadnym stopniu nie sprowadza konwulsji, przypadłości tak częstej przy wymianie jednego z głównych bohaterów. Każdy z nich jest świetnym towarzyszem jej doli i niedoli, zawodowej i osobistej. Co ciekawe, Saga również odgrywa podobną rolę w życiu każdego z nich, zdaje się tylko, że mniej świadomie. Jedno od drugiego na swój sposób się uzależnia, w niewielkiej części wypełniając w sobie pustkę, z którą pozornie wydają się być oswojeni. Nie oznacza to bynajmniej, że mimo niespodziewanie powstałej więzi są w stanie uratować siebie nawzajem od upadków w mrok.

Moim skromnym zdaniem, największa wartość tego serialu to - oprócz walorów estetycznych - zwiastowanie, iż nie każdy ma możliwość odnaleźć szczęście w życiu, nie każde zło da się dobrem zwyciężyć oraz że chociaż bardzo byśmy chcieli, lepiej nie nastawiać się na happy end. Ktoś nas niestety okłamał mówiąc, że wszystko będzie dobrze.

Barto Pielak



ZA WSZYSTKICH NASZYCH SYNÓW – RECENZJA FILMU "FRANTZ"

Nie mogę zaprzeczyć, że tym, co zachęciło mnie do obejrzenia *Frantz*, był piękny czarno-biały plakat filmowy – rezygnacja z kolorów jest bowiem w dzisiejszych czasach rzadka, bo uważana za przestarzałą i właściwie nic niewnosząca. Plakat nie sugerował jednak w żadnym stopniu, że wstrząśnie mną bez reszty, nakłaniając mnie do niezliczonej liczby refleksji.

Nowy film François Ozona – *Frantz* – porusza wiele tematów. Pierwszy z nich wydaje się banalny – to zwykła historia rodziny pogrzeżonej w smutku po stracie syna – tytułowego Frantza Hoffmeistera. Zginął on w ostatnim roku I wojny światowej na froncie zachodnim. Na jego grób, niedługo po zakończeniu walk, przyjeżdża nieznany nikomu mężczyzna, który okazuje się być Francuzem o imieniu Adrien Rivoire. Zawija on kontakt z rodziną Hoffmeisterów, a szczególnie z narzeczoną Frantza – Anną. Tu nasuwa się drugi, najważniejszy dla mnie temat – trauma wojenna. Zarówno Francja jak i Niemcy pogrzeżone są w nieustającej żałobie po stracie setek tysięcy młodych ludzi, a do tego ciąży im kryzys ekonomiczny. Jeśli ktośkolwiek chce się dowiedzieć, jak wojna dzieli ludzi, musi koniecznie zobaczyć *Frantza*.

Frantz opowiada o czymś,

co nam – Polakom – jest kompletnie nieznane: I wojna światowa. Dla nas jest to wręcz obca wojna. Kiedy w Polsce przeżywa się dziś powstanie warszawskie i 17 września, na Zachodzie, szczególnie we Francji, wciąż mówi się o *Grande Guerre*. Dlaczego? Polacy nie uczestniczyli jako państwo w tym wielkim konflikcie i postrzegamy ją tylko, jako wykorzystaną okazję do sięgnięcia po niepodległość. Przez podzieloną na trzy części ojczyznę przewalały się, jak popadnie, wojska niemieckie, austriacko-węgierskie i rosyjskie, nie zaś wojska polskie. Ponadto trzeba wiedzieć, że trauma I wojny światowej wpłynęła na Zachód tak bardzo, że ten nie był raczej ochoczy do walki z III Rzeszą. Nie to, co my, podczas „naszej” II wojny światowej – byliśmy świeżym państwem, które ponadto poczuło już smak zwycięstwa w walkach z bolszewikami.

Podziały, jakie wynikły po I wojnie światowej na Zachodzie, w filmie ciąży nad widzami przez cały czas. Bywa to niezwykle frustrujące (czemu nie można tego raz na zawsze zakończyć?), jednak trudno jest znaleźć na to lekarstwo – konflikt zbyt głęboko wszedł w ludzką psychikę. Obie strony wzajemnie obwiniają się o śmierć setek tysięcy ludzi. Wszystko pokazywane jest nie z perspektywy żołnierzy,

a z tej „ojcowskiej” – tych, którzy wysłali swoje dzieci na wojnę. Frustracja, złość, wściekłość, zawiść przejmują kontrolę nad oboma narodami, gotowymi rzucić się drugiemu do gardła. Patriotyczna duma u Francuzów ze zwycięstwa, chęć zemsty u Niemców – to wszystko wygląda dokładnie jak odbicie lustrzane. Strona niemiecka traktuje Francuzów jak maszyny zabijające bezlitośnie Niemców, a francuska traktuje Niemców jak maszyny zabijające Francuzów. Jakby nikt nie mógł wreszcie zrozumieć, że tak naprawdę zarówno francuscy, jak i niemieccy żołnierze byli zwykłymi ludźmi. Ponadto ludźmi zindoktrynowanymi i przepełnionymi patriotyczną dumą, za którą z początku gotowi są przelać własną krew, a później poświęcić ją za kromkę choćby chleba. Z ich perspektywy właściwie nikt nigdy wojny nie wygrywa – przegrywają ją obie strony, cierpiąc głód, drżąc ze strachu i oczekując jej końca. Wygrywa państwo, instytucja. Naród zwycięża tylko na papierze. Gdy tylko zdaje się, że bariera między Adrienem i Hoffmeisterami pęka – stosowany jest wówczas znakomity manewr przywracania kolorów w obrazie – ta ponownie powraca ze spotęgowaną trwałością.



Ozon ubiera się w filmie w szaty pacyfistyczne i robi to wprost perfekcyjnie. Frantza mogę porównać do również świeżego, bardzo chwalonego (także przeze mnie) dzieła Christophera Nolana o tytule Dunkierka. Reżyser podejmuje tam dyskusję z typowym hollywoodzkim przedstawieniem wojny – właściwie cieszeniem się nią, chlastaniem się krwią, strzelaniem do nieludzkiego wroga (tę rolę przejmują zazwyczaj Niemcy, ewentualnie Anglicy czy Japończycy) i oglądaniem rozrywanych brzuchów. Nolan pokazuje okropieństwo tego wszystkiego, a nieprzyjaciela ukrywa za kurtyną Dunkierki. Mimo tego, „niedzielny widz” i tak będzie zachwycony efektami specjalnymi czy wybitnym udźwiękowieniem obecnymi w tym filmie, co pozwala mu wyłączyć myślenie, a uruchomić adrenalinę. Nie będzie jednak zadowolony, gdy obejrzy Frantza, który wręcz zmusza do refleksji. Nie otrzymujemy w nim ani batalii na polu bitwy (poza jedną, krótką sceną), ani nurkujących samolotów czy eksplodujących okrętów. Pozbawiamy żołnierzy mundurów, odbieramy im broń,

ubieramy w marynarki, układamy fryzury i wrzucamy ponownie w wir normalnego życia. Nie ma już tej powszechnie rozumianej wojny – wystrzały ucichły, nie rozbrzmiewa ryk samolotowych silników, trąbki wśród szampańskich pól umilkły. Pozostaje jednak ta w głowie, a ona jest jeszcze bardziej niebezpieczna, bo o wiele trudniej jest się jej pozbyć.

Nie można zapomnieć o stronie technicznej Frantza. Nie bez powodu Pascal Marti dostał Cezara za najlepsze zdjęcia w 2017. Gra aktorska również jest na światowym poziomie – tu Paula Beer, wcielająca się w Annę, otrzymała Nagrodę im. Marcello Mastroianniego dla najlepszej młodej aktorki na Festiwalu Filmowym w Wenecji w 2016 roku. Nie można też nie docenić Pierre’a Nineya, grającego Adriena.

Warto też poświęcić kilka słów równie znakomitej fabule filmu, skropionej niejedną kroplą łzy i krwi. Trudno mi wymienić jakiegokolwiek inny seans, podczas którego tyle razy płakałem. Dzieło wchłonęło we mnie podczas tej niemal dwugodzinnej projekcji, przez co

nie potrafiłem powstrzymać się przed wzruszeniem czy szczerym, dogłębnym smutkiem. Jeśliby szukać w dzisiejszych czasach filmu, po którego zobaczeniu przeżyć można, niczym w greckim teatrze, katharsis, wybrałbym niewątpliwie najnowszy film Ozona.

Zdominowało mnie poczucie bezradności i braku wiary w rodzaj ludzki. Poczucie, iż wojna nie ma sensu. Nie znajdziesz przecież takiego powodu, w imię którego warto jest wymordować połowę Europy. Byle błahy pretekst, czasami nawet wyimaginowany, przemienia się w realne i niebywale trudne do zlikwidowania podziały. Nikt po obejrzeniu Frantza nie będzie patrzył na wojnę tak jak przedtem. Dodatkowo do tego niezapomnianego seansu może być Na zachodzie bez zmian Ericha Remarque’a, również opisującego I wojnę światową i różne perspektywy patrzenia na nią. Wnioski są bardzo podobne – w wojnie nie ma nic zachwycającego.

Tylko krew, łzy i brud.

Franciszek Porayski-Pomsta



"KRÓTKI FILM O MIŁOŚCI" - RECENZJA

Czwartego lipca, w dniu moich urodzin dostałam w prezencie lek w słoiku. Na ulotce napisane było: „Sposób użycia: W przypadku pustki filmowej należy wylosować tabletkę i rozwinąć. Stosować natychmiast. Przeciwwskazania: Nie używać, gdy telewizor oferuje awesome repertuar.” Zanurzyłam rękę i wyciągnęłam kawałek niebieskiego papieru, zgrabnie złożonego na kształt gwiazdki. Ostrożnie rozwinęłam „tabletkę” i sprawdziłam jej zawartość. Film na dziś to „Krótki film o miłości”.

„Krótki film o miłości” to dramat w reżyserii Krzysztofa Kieślowskiego. Owa produkcja zdobyła wiele nagród oraz nominacji, w tym nagrodę Srebrnych oraz Brązowych Lwów Gdańskich czy Złotą Kaczkę.

Film opowiada o dziewiętnastoletnim mieszkańcu Warszawy (Olaf Lubaszenko), który zakochuje się w dużo starszej od siebie kobiecie – Magdzie (Grażyna Szapołowska), mieszkającej w bloku naprzeciwko. Swoje nieodwzajemnione uczucie stara się ukrywać przed światem, a upust emocjom daje, gdy wieczorami siada przy oknie swojego pokoju i przy pomocy lunety podgląda ukochaną. Śledzi każdy jej ruch, obserwuje przelotnych gości, zaznajamia się z jej nawykami. Nastoletni Tomek, patrząc na nieświadomą jego wzroku kobietę, coraz bardziej się do niej przywiązuje, niczym widz do bohaterów ulubionego filmu. Wychoywany w domu dziecka, nigdy nie zaznał miłości w jakiegokolwiek formie, stąd przekonanie o nieska-

zitelności uczucia. Tomek urzeka widza swoją dziecinną niewinnością, wrażliwością i delikatnością, a jednocześnie każe współczuć swojej naiwności i niezdarności. Chłopak nie ma pojęcia, jak wyrażać uczucia. Sam nie wie czego chce, jednocześnie stroniąc od fizyczności. Jedyne czego jest pewien to to, że kocha Magdę, która z kolei nie potrafi odwzajemnić jego miłości. Mimo swojego dojrzałego wieku, kobieta nie jest w stanie odnaleźć stałości w życiu. Pustkę w swoim sercu wypełnia przelotnymi kochankami. Drwi z zaślepionego miłością młodzieńca i lekceważy jego emocje. Bagatelizuje wagę sytuacji. Nie wyobraża sobie innej relacji z mężczyzną poza krótką znajomością. Kobieta twierdzi, że nastolatek nie wie o czym mówi, zarzuca mu, że się myli i nie ma racji. Daje do zrozumienia, że uczucie, którego chłopak rzekomo jest pewien, to tylko wymysł jego dziecięcej wyobraźni. Magda przekonana o pomyłce Tomka, wyrządza mu krzywdę, próbując dowieść prawdziwości swoich przekonań. Magda z pewnością nie miała na celu skrzywdzić młodzieńca. Problem polegał jednak na nieświadomości. Nie zdawała sobie ona sprawy ze szczerości z jaką mówił o swoich uczuciach Tomek.

W filmie doskonale został przedstawiony konflikt dwóch światów. Z jednej strony zakochany nastolatek, który wie, że kocha, ale jednocześnie nie wie, co dalej z tym zrobić. Dla niego temat eksploatacji kobiecego ciała czy jakiegokolwiek intymności jest zupełnie obcy.

Z drugiej zaś – dojrzała kobieta, która nie wie, jak kochać, ale wie, jak wypełnić pustkę w sercu. Jej relacje z mężczyznami ograniczały się jedynie do bezuczuciowych zbliżeń, o których ona sama wyrażała się z pogardą i w które nie angażowała się emocjonalnie.

Mimo diametralnych różnic charakterów, bohaterowie posiadają wspólny problem, który ukazany jest równolegle z historią nieszczęśliwej miłości. Borykali się z wyniszczającą ich samotnością. W „Krótkim filmie o miłości” mogłoby się wydawać, że tematem przewodnim jest uczucie, którym nieszczęsny Tomek darzy Magdę. Po krótkiej refleksji widz dostrzega, iż tak naprawdę przyczyną wszelkiej krzywdy, jakiej doświadczają nasi bohaterowie jest wyobcowanie i alienacja, z którą oboje mają do czynienia. Film szczyty się wyjątkowo rozbudowaną sferą psychologiczną. Z pewnością przypadnie do gustu osobom, lubiącym analizować sytuację i emocje towarzyszące bohaterom.

Na szczególną uwagę zasługuje wspaniała gra aktorska głównych bohaterów. Zarówno Grażyna Szapołowska jak i Olaf Lubaszenko musieli wcielić się w postać wyjątkowo samotnych i zdesperowanych osób. W moim odczuciu wypadli świetnie w swoich rolach. Sam film przedstawia ponadczasową wizję młodzieńczej, bezgranicznej, nieskazitelnej miłości oraz kontrastową obojętność i brak chęci zaangażowania.

Drwina głównej bohaterki ze szczerych uczuć nastolatka, daje widzowi do zrozumienia, że miłość jest jedynie błędem charakterystycznym dla wieku młodych, którzy są niedojrzali i nie mają pojęcia o ży-

ciu. Magda sprawia wrażenie kobiety, która „wyrosła już” z nadziei o idealnym związku i zapomniała, co to znaczy „kochać”. Z upływem czasu, film coraz bardziej skłania widza do refleksji zarówno nad

słusnością postępowania bohaterów, jak i nad granicami przyzwoitości czy stosowania się do umownej normy.

Ewa Raczkiewicz



Foto: Marvel Entertainment

"MS MARVEL. POKOLENIE CZEMU" – RECENZJA KOMIKSU

"Ms Marvel Pokolenie czemu" kontynuuje i stanowi zakończenie wątku rozpoczętego w Niezwykłej. W końcu dochodzi do konfrontacji pomiędzy bohaterką a tajemniczym Wynałazcą. Kolejne fakty o porwaniach dzieci wychodzą na jaw. Im bardziej Kamala miesza się w tę sprawę tym jej życie, oraz jej bliskich, jest w coraz większym niebezpieczeństwie. Na szczęście dziewczyna nie jest samotna. W pierwszych dwóch zeszytach, które gościnnie ilustruje Jacob Wyatt, Ms Marvel spotyka Wolverina. Ich spotkanie jest nieprzypadkowe, ponieważ Logan poszukuje uczennicy, która uciekła ze szkoły Jean Grey. Jest to chyba mój ulubiony moment z obu części "Ms Marvel". Relacja pomiędzy starym mutantem a nastoletnią superbohaterką jest cudowna. Rozmowy, które prowadzą w kanałach pod New Jersey czyta się z wielką przyjemnością. Nie brakuje tu prze zabawnych sytuacji, w końcu Wolverine jest idolem Kamali, o którym napisała niemało faników. Za takie zabiegi cenię sobie właśnie tę serię. Scena ta była bardzo prawdziwa. Gdyby jakiś młody, raczkujący dopiero, muzyk spotkał takiego Bono, to właśnie tak mogłoby wyglądać ich spotkanie.

Kolejnym sprzymierzeńcem Ms Marvel jest, wysłany przez

Meduzę, królewski pies – Lockjaw. Po zobaczeniu pierwszego kadru przedstawiającego nowego mentora Kamali myślałem, że bohaterka będzie zawiedziona swoim pierwszym mistrzem. Może nie spodziewała się wielkiego psa, lecz bohatera na miarę Wolverine'a. Jednak to nie ta historia. Dziewczyna, gdy tylko widzi Lockjava, wita go z wielką otwartością i entuzjazmem. Stanowią oni znakomity duet, który znacznie ubarwia opowieść Wilson. Wątek Inhumans wprowadza nie tylko nową postać do serii, ale też wyjaśnia uaktywnienie supermocy Kamali. Narzekałem na to przy pierwszym tomie, jednak teraz już wszystko jest jasne.

Skromna, trochę cukierkowa i momentami mangowa kreska Wyatta była dobrym wyborem do zilustrowania pierwszych dwóch zeszytów Pokolenia czemu. Świetnie obrazowało to niezwykłość oraz niesamowitość spotkania Kamali z Wolverinem. Zmiana rysownika zgrabnie oddzieliła ten epizod z Loganem od dalszej części historii. Podziwiając je podczas czytania, czułem się trochę jakby był to sen Kamali, bądź marzenie, które okazało się prawdą. Po tych dwóch zeszytach powracamy do kreski Adriana Alphona, która wciąż wywierają bardzo pozytywne wrażenie.

W recenzji pierwszego tomu Ms Marvel pisałem o tym, że jest to uwspółcześniona seria o Spider-Manie. I kontynuacja tylko to potwierdza, może nawet z nawiązką. Sam podtytuł komiksu odnosi się do Pokolenia Y. Tak jak poprzednio, autorka ponownie stara się coś przekazać młodym czytelnikom. Tym razem historia ma na celu uświadomienie nastolatkom swoją własną wartości oraz by nie zasufladkować się w opiniach innych osób. Drugi tom po raz kolejny udowadnia, że jest to chyba jedna z mądrzejszych serii Mavela, która kierowana jest do młodszych czytelników, choć skrada również serca tych starszych odbiorców. To nie fabuła komiksu nie pozwala oderwać się od lektury, bo intryga sama w sobie nie jest wciągająca. To niesamowita, barwna bohaterka, wykreowana przez Gwendolyn Willow Wilson, sprawia, że Ms Marvel jest tak unikalną serią.

"Ms Marvel Pokolenie czemu" trzyma poziom poprzedniego tomu i podczas lektury nie mogłem do niczego się przyczepić. Jest to dla mnie najważniejsza seria propownowana od Egmontu w ramach cyklu Marvel NOW!, której śledzenie absolutnie polecam!

Michał Bisiorek

SPIS TREŚCI

O DUBAJU, SZYCIU I PAPIEROSACH - WYWIAD Z WANDĄ ŁUCZAK (STR. 1)

NAZWY KLAS PIERWSZYCH (STR. 4)

**WRAŻENIA Z EKO, CZYLI JAK TO MOŻLIWE, ŻE 9-LATKA ZNA CAŁY
LAS NA PAMIĘĆ. (STR. 5)**

DZIEŃ DOBRY, DZIEŃ DOBRY (STR. 5)

FEMINIZM XX WIEKU (STR. 6)

PALENIE NA BEDNARSKIEJ (STR. 7)

ŁAWECZKA (STR. 8)

DO TRZECZ RAZY SZTUKA - RECENZJA "NĘDZNIKÓW" (STR. 9)

"BLADE RUNNER 2049" - ŁOWCA DUSZ (STR. 10)

**SKOK W SKANDYNAWSKI MROK - RECENZJA SERIALU "MOST NAD
SUNDEM" (STR. 11)**

**ZA WSZYSTKICH NASZYCH SYNÓW – RECENZJA
FILMU "FRANTZ" (STR. 12)**

"KRÓTKI FILM O MIŁOŚCI" - RECENZJA (STR. 14)

"MS MARVEL. POKOLENIE CZEMU" – RECENZJA KOMIKSU (STR. 15)